

MOJA KOCHANA WIEDŹMA

Podziwiałam ją na scenach różnych teatrów, w kuluarach, zdarzało się, że podglądałam z boku jakąś codzienną scenkę z jej udziałem. Chłonełam słowa wypowiedziane z bezbłędną artykulacją, gesty. Wpatrywałam się w srebrną biżuterię, pierścienie, brzęczące na przegubie bransoletki, wisiorzy ze szlachetnymi kamieniami. Wielka aktorka, mówiłam sobie po cichu, bo wtedy jeszcze nie pisałam.

Potem spotkałyśmy się w Towarzystwie Kultury Teatralnej, w jury konkursu na recenzję teatralną, któremu przewodniczyła. W roku 1991 pisałam o niej do modnego wówczas „Gońca Teatralnego”, redagowanego przez Macieja Nowaka. Miał być wywiad, wyszedł portret pod tytułem „Ja lubię tę robotę”. Obchodziła wówczas jubileusz 45-lecia pracy artystycznej i grała główną rolę w „Profesji pani Warren”. Tytuł artykułu był cytatem ze sztuki, dowcipną odpowiedzią na moje pytanie o aktorskie pasje.

Była najwspanialszą babcią Eugenią z „Tanga” Mrożka, jaką widziałam. Otrzymała za tę rolę Złotą Maskę (Teatr Zagłębia w Sosnowcu). Kolejną Złotą Maską nagrodzono ją za rolę Alice w spektaklu „Wszystkie dni, wszystkie noce” Margarety Garpe w Teatrze Bez Sceny w Katowicach (reżyseria, scenografia i opracowanie muzyczne: Andrzej Dopierała). Była to opowieść o babkach, matkach i córkach, ich trudnych relacjach, pełnych niedomówień i pretensji. Grała starą kobietę, wymagającą opieki.

Nagle zobaczyłam w niej jaśniejszą stronę swojej zmarłej matki. Utożsamiałam się tak bardzo z sytuacjami

na scenie, że przeżyłam najprawdziwsze katharsis i nie byłam w stanie opanować nie tylko wzruszenia, ale i chliptania. Za mną, ku uciesze aktorów, poszli inni, którzy również bez zbytniej powściągliwości wyciągali chusteczki. Być może od tamtej chwili sceniczna Alice zaczęła mi matkować tą dobrą, wyrozumiałą stroną, za którą tęskniłam. I nowocześnie kazała nazywać się po imieniu, Sławą, ale ja wołałam Staszeczkę. Zbliżyłyśmy się tak, jak każda z nas bała się zbliżyć do drugiego człowieka. I tak pokochałam **Stanisławę Łopuszańską**.

Staszeczka mimo upływającego wieku była ciągle piękna, mądra i elegancka. I wiecznie żywa, jak Lenin, dodawała, kiedy ją wychwalam. Ubierała się tak, że niejedna młódka mogłaby jej pozazdrościć. Kiedyś zaskoczyła mnie różnymi tonacjami oliwkowych kolorów i dobraną do nich srebrną biżuterią z odpowiednio zielonymi kamieniami. Innym razem, kiedy wybierałyśmy się do Teatru Rozrywki na koncert poświęcony pamięci Jacentego Jędrusika, wykombinowała stylizację, która powinna obieć wszystkie „pudelki” świata. Modne spodnie, typu szarawary, w kolorze bordo, o ton jaśniejsza bluzka, na to długa kamizela z reglanowymi rękawami w tym samym kolorze, srebrna biżuteria. I najlepsze: buty na wysokim obcasie. Kiedy piałam z zachwyty nad butami, Sława mi powiedziała konspiracyjnym szeptem, że już, niestety, nie może na takich obcasach chodzić na co dzień, jedynie tyle, co do teatru.

Uwielbiała kilkudniowe pobyty w Warszawie. - Co cię tak fascynuje

w tym mieście? - pytałam. - Byłam wtedy taka młoda i taka szczęśliwa - rozmarzała się. Wtedy, czyli w czasie wojny, w powstaniu, w którym bezpośredniego udziału nie brała (jej brat tak), ale pod koniec była kurierką, roznosiła ulotki, biuletyn informacyjny i korespondencję. Po wojnie i tak odpokutowała swoje, bo zdradziła ją przed UB koleżanka, z którą grała w tym samym teatrze. Kiedy pytałam, czy spisie wspomnienia, uśmiechała się uśmiechem głębszego wtajemniczenia. - Po co? Nie byłam bohaterką, nie zamierzam dorbaciać sobie kombatanckiej przeszłości ani odcinać od niej kuponów.

Kiedy nazwałam ją Wiedźmą? Wiedźmą, czyli tą, która więcej wie z racji życiowej mądrości, inteligencji emocjonalnej i intelektu. Czy w roku 2005, kiedy to zagrała główną rolę w filmie „Diabeł”, nagrodzonym na wielu festiwalach niezależnego kina (a u jej boku Andrzej Grabowski, Beata Rybotycka, Krystyna Rutkowska; reżyseria: Tomasz Szafrński)? Czy też po roli w polskim horrorze „Pora mroku”, gdzie zagrała znaczący epizod, Gertrudę Zellerstein, a zdjęcia nagrywała w Buenos Aires?

A może Wiedźmą nazwałam ją dużo wcześniej, już wówczas, gdy grała w „Najstarszej profesji” Pauli Vogel, w reżyserii Tomasza Dutkiewicza w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej? Jakież wtedy dostawała brawa, szczególnie w scenie, kiedy się odwraca i robi gest nieprzyzwoity, środkowym palcem.

- Jak się tego nauczyłaś? - dopytywałam. - Och, drobiazg - wyjaśniała - po prostu podglądałam młodych,

a w końcu umówiłam się z maszynistą sceny, że ilekroć mnie zobaczy i zawoła, to zrobię ten gest. I już.

Po spektaklu „Pięć razy Albertyna” (Teatr Śląski, autor: Michel Tremblay, reżyseria: Gabriel Gietzky) powiedziałam, że jej Albertyna była najlepsza. Nie zadowolili się ogólnikiem, wypytywała o szczegóły, dlaczego i dlaczego. - Bo najtrudniej zagrać pokorę wobec losu i ten dziwny spokój, który może mieć tylko prawdziwa Wiedźma - powiedziałam. Podniosła głowę wysoko, wyprostowała się. - Zrób mi przyjemność - jedźmy do parku, na Muchowiec, bardzo tam lubiłam się uczyć ról. Teraz, w nocy? - zdziwiłam się. - W nocy też może być ciekawie - uśmiechnęła się szelmowsko.

Lata płynęły i Staszeczka na pytanie, jak się czuje, odpowiadała z uśmiechem: - Coraz częściej stosownie do wieku. Przychodziły jednak i takie dni, kiedy był w niej smutek. - Jaki sens może mieć moje życie, kiedy mam 90 i trochę lat, nie gram w teatrze, zapominam, co było wczoraj, przewracam się, łamię sobie zębra, kiedy przywożę mnie na chirurgię, no powiedz, jaki sens? - dopytywała. Podawałam różne argumenty. Za każdym razem kręciła głową. Nic jej nie pasowało. Nie była ciekawa, dokąd ten świat podąża, nie czekała na nową rolę. Nie chciała żyć dla siebie ani dla mnie.

I kiedy wydawało mi się, że wyczerpałam już wszelkie pomysły, powiedziałam z udawaną złością: - Masz rację, twoje życie nie ma sensu, skoro nic cię nie ciekawi. Dlatego pozostaje ci chcieć żyć tylko z obowiązku. - Z obowiązku? - spojrzała na mnie z nagłym błyskiem w oku. - Tak, powinnaś zobaczyć sens w obowiązku życia - wpadłam w koturnowy styl. - A wiesz, że ty masz rację? Tak, będę żyła z obowiązku. W końcu wypada mieć jakąś

fanaberię na starość - podsumowała. To wtedy po raz pierwszy powiedziała: - Czym ja sobie na ciebie zasłużyłam, córeczko? W ostatnich dniach życia często kierowała to pytanie do Renatki, wiernej opiekunki, i do mnie.

Niespełna rok temu zwierzyła mi się, że marzy o tym, by mieć fanpage na Facebooku, bo czytała, że jak się nie ma, to się nie istnieje. I że chciałaby mieć też coś takiego jak selfik. Ucieszyłam się, że niemalże od ręki mogę spełnić jej marzenie. Ilekroć ją odwiedzałam, z zainteresowaniem dopytywała o lajki, odczytywała komentarze i uczyła się samodzielnie na nie odpowiadać.

A potem Staszeczka zaczęła tracić siły szybciej, niż upływały dni. Prosiła tylko o jedno: byśmy nie oddały jej do szpitala i by mogła zasnąć w swoim łóżku, patrząc na zegar i portret męża, Eugeniusza. Dzięki nieustającej pomocy pani Renatki było to możliwe. Zdażyłam się z nią pożegnać przed wyjazdem na targi książki w Warszawie. Zasnęła w piątek o godzinie 22.25. Po raz drugi straciłam mamę. Nieważne, ile mam dokładnie lat, mawiała, i tak jestem starsza od węgla.

W sobotę rano napisałam na fanpage'u Staszeczki:

Umarłam przed północą.

Nareszcie.

Bo cóż to za życie,
w którym nie ma życia.

I w którym siły już nie ma,
by zagrać ostatnią rolę
z dbałością o każdy gest.

A potem wstać
i skłonić się przed publicznością,
moją ostatnią nagrodą.

PS Ostatnie pożegnanie Stanisławy Ławskiej-Łopuszańskiej odbędzie się we wtorek, 24 maja, o godz. 11, w bazylice w Katowicach-Panewnikach. ●

MARTA FOX